

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Nowe zdobycze polonistyki

Zycie polskie po odzyskaniu niepodległości nie potoczyło się tak, jak wyobrażaliśmy sobie niegdyś w snach młodości. Fakt ten daje się boleśnie odczuć także w dziedzinie kulturalnej. A jednak są w niej zadatki lepszej przyszłości.

Za okoliczność dodatnią uważam, że stosunek historii literatury do poezji romantycznej może dziś ułożyć się i rzeczywiście układa na podstawie badań ściśle rzeczowych i oceny rzeczowej. W czasach niewoli była ona świętością i panowało pewne skrepowanie krytycyzmu, pewna petryfikacja pojęć. Kto wyszedł poza krąg przyjętych powszechnie poglądów, spotykał się z ostrą reakcją.

Przypominam sobie oburzenie, jakie wywołała praca ś. p. prof. Józefa Tretia-ka o Słowackim i jej nagrodzenie przez Akademię Umiejętności. Sam należałem do tych, którzy odczuli ją jako złośliwe burzenie ideału i dałem temu wyraz w publicznym odczycie. I dziś jeszcze nie zgadzam się na myśl przewodnią książki, ale nauczyłem się cenić szereg jej rzetelnych zalet, a przedewszystkiem doszedłem do przekonania, że na miejscu była raczej polemika, niż okrzyki „Świętości nie szargać!”

Poezja romantyczna była potężnym okrzykiem bólu patriotycznego, była hukem napiętym do ostatnich granic możliwości, a mierzącym w pierś zaborców, była słupem ognistym, wiodącym naród do wolności. Z chwilą uzyskania wolności możemy już wielkich romantyków traktować, jak wszelkich innych poetów.

A więc odbronzowanie?

I tak, i nie. Ktoby umyślnie chciał wielkie posągi ściągać z piedestału i dążyć do tego celu przez przesadzanie osobistych słabostek lub usterek w twórczości a czynił to dla sensacji, dla popisania się swą śmiałością krytyczną czy dla wyolbrzymienia wartości własnych czasów, zasługuje na surowe potępienie. Wolno jednak i trzeba z odpowiednim szacunkiem ustalać prawdę i do dzieł największych nawet przykładać skalpel krytyczny — ostro, byle nie zatruty. I niewątpliwie są tacy, którzy to czynią.

ZYGMUNT WASILEWSKI O NORWIDZIE.

Cyprjan Norwid miał sławę arcyapoety. Zawdzięczał ją, jak Słowacki, nie współczesnym, którzy go nie czytali, a o ile czytali, nie cenili, ale krytykom późniejszym. Lecz gdy Małeckie zwrócił uwagę na Słowackiego, zaczęto go czytać. Wielkość Norwida przyjęto przeważnie na odpowiedzialność krytyków, którzy ją podali do wierzenia.

Przed kilku miesiącami nastąpiła reakcja — w formie szkicu prof. Piniego w wydaniu Biblioteki Poetów Polskich. Jak na tem miejscu stwierdzono, p. Pini posunął się w tem odbronzowaniu stanowczo za daleko, gdyż przystąpił do niego z wyraźnym uprzedzeniem.

A przecie sąd pierwotny o Norwidzie, długo utrzymujący się dzięki szeregowi krytyków, a nie oparty na powszechnej znajomości dzieł poety, wymaga rewizji. Tylko do rewizji należało przystąpić z sympatją i spokojem krytycznym.

Oba te warunki posiada p. Zygmunt Wasilewski¹⁾, który wziął za punkt wyjścia życie Norwida, przedewszystkiem w okresie warszawskim, szukając tu rozwiązania szeregu problemów. Książka nie przynosi zupełnego życiorysu, ani analizy całej twórczości. Nie to było zadanie, jakie postawił sobie autor. Szło mu o zasadnicze pierwiastki charakteru, temperamentu i organizacji artystycznej. Słusznie szukał ich w młodości poety. Napisał jakgdyby prolegomena do monografii — i to prolegomena bardzo cenne, zarówno pod względem negatywnym, jak i pozytywnym.

A więc uprzątnął p. Wasilewski z drogi przyszłego monografa dużo gruzu omyłek i nieporozumień. Norwid cierpiał na słabość wywodzenia swego rodu od Normanów i od — królów. Gruntowne badania p. Wasilewskiego burzą ten sztuczny gmach, przynosząc cały szereg dokładnych danych o rodzie i krewnych poety, którego badania, prowadzone w czasie, gdy miał posadę w biurze Heroldji, musiały doprowadzić do przekonania, że jego krewni Sobiescy nie mieli nic wspólnego z Janem III.

Rozwiewa dalej p. Wasilewski legendę, jakoby Norwid wyjechał zagranicę, zrażony chłodem przyjęciem swych pierwszych utworów. Było zupełnie przeciwnie. W ówczesnej Warszawie, bardzo jeszcze ubogiej pod względem literackim, zachwycono się nim i młodocianego Norwida traktowano, jak geniusza. Mamy na to szereg dowodów, przedewszystkiem wiersz Antoniego Czajkowskiego, który cieszył się tam sławą największego poety z początkiem piętego dziesiątka w. XIX.

Niezwykle cenne są wiadomości o Janie, ojcu Cyprjana, przedewszystkiem o jego zamiłowaniu do szarad, logogryfów i łamigłówek. W świetle dziedziczności musimy w niejednym poety utworze widzieć nie brak zdolności jasnego wypowiedzenia się, lecz umyślnie ujęcie myśli w formę zagadki. Analiza paru utworów, w których p. Wasilewski odstępował od interpretacji p. Przesmyckiego lub prof. Cywińskiego, wybornie ilustruje tę teorię.

Genezę poglądu Norwida na świat upatruje autor we współczesnej filozofii niemieckiej. „Faktem, od początku charakteryzującym Norwida, jest rozszepienie dualistyczne.“ Wszystko, co ziemskie, jest jednak podrzędne i nieistotne, może tylko jest symbolem zewnętrznym prawdziwego świata, duchowego. Ten stosunek do świata znalazł odbicie w twórczości poety. Stąd brak jej było pierwiastka czynu i silnego uczucia. Nie mogła też znaleźć oddźwięku w społeczeństwie. „Artysta obcuje z ogółem na zasadach kongenialności... Brak popularności (przy dużym artyzmie) dowodzi braków w budowie psychicznej artysty“. Norwid odpychał współczesnych nie tylko niezrozumiałością, ale i chłodem.

I nie musiała jego twórczość potoczyć się tym właśnie torem. Pośród pierwszych jego poezji nie brak dowodów, że mógł

wybrać i inny. Kochał więc mazowiecką i próbował bardzo szczęśliwie motywów ludowych. Lecz wzgardził nimi, uważając się za powołanego do większych rzeczy.

Nie mam tu miejsca na szczegółowe streszczanie poglądów p. Wasilewskiego. Wystarczy stwierdzić, że tworzą one podstawę do nowego ujęcia postaci i poezji Norwida. Poza tem mamy tu cały szereg rysów obyczajowych i wiadomości o wielu współczesnych poety. Plastycznie rysuje się literacki świat Warszawy, początki cyganerii, salony Deotymy, dumna a złowroga dla Norwida postać Marii Kalergis i t. d.

SŁOWACKI A ROMANTYZM FRANCUSKI.

Przypomni sobie każdy, kto przeszedł szkołę średnią, czy to w b. Galicji, czy już w Polsce niepodległej, czego uczono go o pierwszym okresie Słowackiego. Deklinowano przez wszystkie przypadki nazwisko Byrona — spowodu „Jana Bieleckiego“, „Huga“, „Mnicha“, „Araba“. Krytycy sugerowali jedni drugich, a zwiędzeni pozorami, nie spostrzegali, że między „Arabem“, a tamtymi utworami istnieje zasadnicza różnica. Bohaterowie Byrona popełniają zbrodnie — z zemsty lub w pewnych konkretnych celach. Są pokłóceni ze światem, ale wszechobejmującej nienawiści do świata żaden z nich nie żywi, złych czynów dla samego złego żaden nie kocha; w pewnych momentach zdobywają się na szlachetność i poświęcenie. Tymczasem bohater „Araba“ jest wrogiem życia i cztery jego zbrodnie mają charakter bezinteresownego jakby, żadną osobistą pobudką niedyktowanego okrucieństwa. Tę psychologię Słowacki wziął nie z Byrona, lecz z „Renégo“ Chateaubrianda.

Gdy czytamy wywody prof. Władysława Folkierskiego¹⁾, odnosimy wrażenie iż rzecz jest bardzo prosta. Niektórzy krytycy byli na dobrym tropie. Lecz „do jądra gestwiny“ żaden z nich nie doszedł. Udało się to dopiero badaczowi, który zużytkował swoją gruntowną znajomość literatury francuskiej, a równocześnie gruntownie zgłębił cały materiał pism i korespondencji Słowackiego i literaturę przedmiotu.

Lecz studjum rozwinęło się w coś szerszego, zaznaczonego w podtytule, który właściwie powinien być tytułem. Rozdział drugi części, poświęconej Chateaubriandowi, nosi tytuł „Trzy Amelje“. Dowiadujemy się, jakie odbicie w twórczości „Atali“ znalazło jego nieśczęsne uczucie, do siostry Lucile, niewinne zresztą pendant do kazirodtwa Byrona, obecnie po ogłoszeniu korespondencji, którą wolno było wydać dopiero w sto lat po zgonie tego drugiego poety, stwierdzonego przed wszelką wątpliwość i wyjaśniającego jego twórczość zupełnie inaczej, niż ją tradycyjnie wyjaśniano.

Słowacki był twórcą typowo literackim. Świadomie zapożyczał motywy u

innych poetów, aby rozwinąć je samoistnie. Pary Szczęsny i Amelja w „Horztyńskim“, Zbigniew i Amelja w „Mazepie“ zawdzięczają swe powstanie parze „René i Aurelia w René'm i „Natchezach“ Chateaubrianda. Nie jest to zależność niewolnicza, owszem Słowacki traktuje motyw subtelniej i z większym artyzmem, a równocześnie samoistnie. Lecz pochodzenie udowadnia prof. Folkierski tak przekonująco, że trudno mieć wątpliwości. W tym wypadku miał zresztą poprzedników, ale pierwszy postawił sprawę jasno i ustalił wszelkie korespondencje. Starannie wyszukuje następne ślady wpływu Chateaubrianda, już mniej ważne, ale niezaprzeczane, w „Podróży na wschód“, „Grobie Agamemnona“ i w „Beniowskim“.

Druga część pracy poświęcona jest Wiktrowi Hugo, który swoją estetykę sformułował w r. 1827, a więc w czasie, gdy Słowacki właśnie zaczynał pisać, w przedmowie do „Cromwella“. Stąd to Słowacki wziął pociąg do groteski, której jako kontrastu do wzniosłości i eteryczności używa — zresztą niefortunnie — w „Wacławie“, „Poemacie Piasta Dantyszka“ i „Beatryks Cenci“ (może tu zbyt surowo ocenionej). Uderzające są analogie między „Hanem z Islandji“, a „Piastem Dantyszkim“. Liryki Wiktora Hugo znalazły niejedno echo w „Przygotowaniu“, „Kordjana“, jeden z nich był zapewne źródłem pomysłu, zresztą znowu zupełnie oryginalnie ujętego.

Wpływ techniki teatralnej Huga na „Mazepę“ jest dawno stwierdzony, jak pożyteczka z „La Gran Bretèche“ Balzaca w epizodzie zamurowania paia). Lecz prof. Folkierski słusznie rozszerza wpływ ten na inne utwory i wykazuje drobniejsze pożyczki. Najdonioślejszem zapewne spostrzeżeniem jest wykazanie, że trzykrotne ocalenie Derwida przez Lille, nawiasem mówiąc psujące akcję i uniemożliwiające jej prawidłowy rozwój, odpowiada trzykrotnemu ocaleniu kochanka przez Marion Delorme (również bezowocnemu).

Nie mogę tu już poświęcić więcej miejsca trzeciej części, zatytułowanej „Krań Alfreda de Vigny“. Etapami wpływu są „Helena“ i „Lambro“, „Paris“ i „Paryż“, wreszcie „Eloa“ i „Anhelli“. W tym trzecim wypadku krytyka polska dawno przeprowadziła analizę, ale prof. Folkierski umie niejedno sprostować i dorzucić.

Tkwi nam wszystkim jeszcze w pamięci kampania Boya i innych przeciw „wpływologii“. Ma ona swoje złe i śmieszne strony, gdy krytycy popadają w drobiazgowo dociekania i szukają impulsu twórczego w literaturze tam, gdzie to jest niepotrzebne, bo idzie o coś wspólnego całej epoce czy łatwo dającego znaleźć się w życiu danego pisarza. Lecz zaniechać studjów nad oddziaływaniem wzajemnem twórców dlatego, że ktoś czasem nadużywa tej metody, byłoby równą śmiesznością, jak jej nadużywać. A przy twórczości takich typowo literackich poetów, jak Słowacki (a u obcych n. p. Milton) byłoby to poprostu wyrzeczeniem się możliwości jej zanalizowania. Książka prof. Folkierskiego jest doskonałym dowodem i poważnie wzbogaciła naszą literaturę krytyczną.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI.

¹⁾ Norwid. Warszawa 1935. Skład główny w Administracji „Myśli Narodowej“.

¹⁾ Od Chateaubrianda do Anhellego. Rzecz o związkach między przedmistycznym okresem Słowackiego, a romantyzmem francuskim. Kraków 1934, nakł. Polskiej Akademii Umiejętności.

O rewizję tekstów muzycznych

Postęp, jaki obserwujemy nieustannie w każdej niemal dziedzinie naszego życia cywilizowanego, nasuwa nam spostrzeżenia, że w porównaniu do innych gałęzi kultury i sztuki, sprawa tekstów muzyki wokalne, a zwłaszcza tłumaczonych z innych języków, nie znajduje się dotychczas na właściwym poziomie. Pod względem wartości, teksty przełożone na język polski, w większości wypadków nie mogą równać się nawet z utworami wokalnymi, których są częścią integralną.

Jak dawniej, tak i teraz mało zważamy na to, jakie słowa śpiewają soliści lub chóry i koncentrując całą uwagę na części muzycznej utworu, do śpiewanego tekstu odnosimy się z zupełną obojętnością, nie stawiając w tym względzie zbyt wielkich wymagań.

Sławne są przecież niektóre wyjątki z oper tłumaczonych na język polski, obfitujące w różne nonsensy i błędy tekstowe. Słuchamy tych nonsensów po dziś dzień przy każdej okazji, przyjmujemy je z pobłażaniem jako zło konieczne, a w miarę upływu czasu przyzwyczajamy się do nich tak, iż przestają nas one razić. Cóż to kogo obchodzi, że bohaterka Cyganerii Puccini'ego „Mimi” opowiada swą historię „aż do znużenia”, lub, że w jej okienku zakwita „memróża”? Cóż może komu przeszkadzać „drżąca cała” Dalilla lub jej słynna aria w której „strzał” „śmierć ponieść ma” zamiast ją zadać?

My słuchamy tylko muzyki, a to, że „Carmen” przybrała „świeży strój nie szczeniak rąk i nóg”, że w Oneginie Czajkowskiego „żony biedaczki” gotują mężom „czaj” zamiast herbaty, jak to opowiada chór na tle walcu, lub to, że dumna Amneris mówi groźnie do Aidy „pójdź przedział zmierz ty co walczyć ze mną chcesz!” — to nie obchodzi nas wcale.

Rodzaje błędów i usterek tekstowych są bardzo różne. Jedne polegają na stosowaniu germanizmów i rusycyzmów, inne są śmieszne przez niezręczny układ końcowych i początkowych sylab zbiegających się i tworzących nowe słowa, co przy nieubłaganej rytmice muzycznej występuje znacznie wyraźniej niż w mowie i brzmi czasem tylko nieładnie, a czasem wręcz nieprzyzwoicie, jeszcze inne nie uwzględniają akcentów muzycznych lub też, złożone z twardych, chrzęszczących sylab brzmią niewdzięcznie i trudno je wymawiać.

Niedawno wpadł mi w ręce egzemplarz oratorium Haydna „Cztery pory roku”. Trudno opisać, jakie słowa wyśpiewuje tam nieszczęsny chór w tych prześlicznych numerach muzycznych. Oto kilka przykładów:

„Wielbmy, wielbmy Pana! Wielbmy, wielbmy Go!”

albo:

„Wciąż war strzał grad kul pruje
czarne obłoki”

w innym znów miejscu jest mowa o polowaniu i o psie gonącym za swą ofiarą:

„on wwał, on wwał jak rozciąga się!”

Najciekawsze jest jednak zdanie śpiewane przez tenże chór:

„świeć o słońce świeć! Tyś oko,
tyś luster!”

(n.b. „luster” z akcentem muzycznym na „ter”).

Takich przykładów można przy-

toczyć bardzo dużo, gdyż większość tekstów muzycznych tłumaczonych na język polski, — to nieudolna i pospieszna robota przygodnych tłumaczy, liczących na to, że na tekst nie zwraca się zbyt uwagi.

Przyczyną takiego stanu rzeczy jest to, że mamy zbyt mało fachowych tłumaczy muzycznych.

Jest to dziedzina pracy zupełnie samoistna i wymagająca, oprócz znajomości języków, dwóch kardynalnych warunków, a mianowicie: talentu literackiego i wykształcenia muzycznego.

Aby dobrze i prawidłowo przetłumaczyć tekst pieśni czy arji, nie wystarczy być tylko zdolnym literatem, lub tylko dobrym muzykiem. Trzeba być jednym i drugim równocześnie. Najzdolniejszy nawet poeta nie zdoła podłożyć pięknego tekstu do muzyki jeśli nie będzie znał doskonale rytmiki, taktu, znaczenia motywów i linii melodyjnej. I odwrotnie: najlepszy muzyk nie zdoła tego uczynić, nie mając talentu literackiego i zdolności rymotwórczych.

Nadmiar dyletantyzmu w tej dziedzinie tłumaczyć należy przede wszystkim niskimi wymaganiami odtwórców i kierowników imprez muzycznych oraz — brakiem odpowiednich fachowców. Przygodny tłumacz literat, chcąc

ułatwić sobie trudne zadanie, którego nie może pokonać, pozwala sobie częstokroć na różne przeróbki utworu przystosowując go do swego tekstu. Dodawanie nut w miejscach, gdzie jest więcej sylab niż dźwięków, łączenie dwóch nut łukiem, wtedy, gdy w tekście wypada wyraz jednosylabowy, nieuwzględnianie pauz i motywów — spotyka się w przekładach tekstów muzycznych niemal na każdym kroku. Jest to jednak karygodna profanacja utworu muzycznego, o czym taki tłumacz wcale nie myśli.

Są również wypadki, że — doskonały zresztą — poeta, tłumacz tekstu muzycznego, baczny tylko na to, aby ilość sylab wiersza odpowiadała ilości nut i nie przejmując się wcale akcentami, które padają wtedy zupełnie fałszywie.

Klasycznym przykładem na to twierdzenie jest pieśń Gliera pt. „Słowiki” wydana przez jedno z warszawskich wydawnictw muzycznych. Do pieśni tej napisał słowa znany podobno poeta, który jednak niema pojęcia o muzyce.

Oto wyjątek z tej pieśni:

„Tak pieściła aksamitną mgłą
jak twych włosów wonny zwój,
ta słowiczka rozelkana gra
ciem północnych srebrny rój”.

Nie krytykując wcale formy i sensu tego wiersza, stwierdzamy, że przy muzyce słowa te brzmią:

„Tak pieściła aksamitną mgłą
jak twych włosów wonny zwój,
tasło wiczaro zełka nagra
ciem pól nocnych srebrny rój!”

I jeszcze w innym miejscu tekst brzmi:

„Zmilkły głosy słowikowych pień,
jeno serce pieśni lka...”

To samo zdanie przybiera w śpiewie następujące akcenty:

„Zmilkły gło sysło wiko wychpień
jeno ser ce pie-śń lka...”

A teraz pozwolę sobie zapytać, co ma uczynić śpiewaczka, która pragnie wykonać tę pieśń na koncercie? Czy ma ją śpiewać z fałszywymi akcentami, czy przerabiać odpowiednio do tekstu rytmikę muzyczną, czy też poprawiać samodzielnie niewłaściwy tekst?

Cokolwiek uczyni zawsze to będzie tandeta! I tej tandety właśnie jest aż nadto dużo w tej ważnej dziedzinie twórczej.

Należałoby zwrócić baczniejszą uwagę na sprawę tłumaczeń muzycznych i oczyszczając literaturę wokalną z brzydkich, bezsensownych i nieprawidłowych tekstów, powierzać na przyszłość tego rodzaju prace ludziom sumieniom i posiadającym konieczne do tego przygotowanie muzyczne i literackie.

JANINA GILLOVA

Z wędrówek po Czechosłowacji Zamki Orawskie

Bliższe sąsiedztwo Czechosłowacji i ułatwienia Towarzystwa Tatrzańskiego sprawiają, że na odcinkach naszych południowych łańcuchów górskich często jako jednodniowi wycieczkowcy przekraczamy granicę, by napić się węgierskiego wina, zwiedzić najbliższą pasą granicznego położone okolice i odetchnąć zmianą. Za taką przepustką wyjechała kiedyś spora gromadka młodzieży gimnazjalnej i starszych przez Nowy Targ, Czarny Dunajec i Suchą Horę do Zamków Orawskich na linii Sucha Hora — Kralowany.

Droga początkowo koło Nowego Targu piękna, cały łańcuch naszych Tatr z Giewontem, Zawratem, Swinicą i czeskich szczytów z Hodzmem na czele sterczy dumnie ku niebu. Droga wiję się wzdłuż nich i nic nie nuży. Im dalej na południe ku Czarnemu Dunajcowi, teren krajobrazu staje się jednostajniejszym. Smętne pola i ugory, wycięte lasy, taki torfiaste. Pod samym Czarnym Dunajcem znajdują się wsie Wróblówka, Witów, Dzianisz, słynne z chowu koni. Górale hodują rasę podhalańską i karmią swoje konie mlekiem i mięsem. Na przednowku góral sam z rodziną nie będzie dojadł, ale nie ujmie ukochanym zwierzętom potrzebnego pokarmu. To też sierzść bachmatów podhalańskich słynie jedwabistością, choć nazwa jednej wsi „Głodówka”, wskazuje na skąpe warunki bytu.

Od Suhej Hory zaczyna się Czechosłowacja. Wsiadamy do żwawej motorówki, która nas unosi do Orawskich Zamków. Dolina Orawy, to Pieniny Czechosłowacji. Z szumem wśród ciemnych szczytów wije się górska rzeka wokół rozciągają się zielone równie, soczyste, bogate i bujne.

Przyjeżdżamy. Miasteczko nie miasteczko: hotel i Utulnia (schronisko), gorsze niż nasze na Luboniu i Wierbach. Narazie są przepelnione. Udaje się jednak znaleźć nienajgorsze pomieszczenie, a kolacja złożona z przywiezionych zapasów i obłana winkiem węgierskim usposabia znakomicie do snu. To też więk-

szość wycieczkowców na tem kończy dzienną mordęgę, a tylko nieliczni romantycy udają się na poszukiwanie wrażeń. Oko i wyobraźnię nęci pyszny zamek sterczący na złomie skalnym, niby orle gniazdo, zapomniane tam przez wieki i pokolenia. Pierwotną część zamku stawiali Templariusze w XIII. w. Na początku XVII w. był hr. Vurzo jedynym jego właścicielem. Siedem córek wydał za magnatów węgierskich, a że nie miał syna, Zamek i ogromne włości przeszły na t. zw. „Komposesorat”, którego zawsze jeden z rodowych spokrewnionych magnatów jest dyrektorem. Przed przewrotem wojennym należał Zamek do 62 rodzin, rząd Czechosłowacki wykupuje od nich Zamek i tylko 5 rodzin pozostaje jeszcze do eksmitowania drogą polubowną, między niemi ród Esterhazy, Erdödy, Zichy itd. Słynne zbiory Zamku rozpoczął Edmund Zichy. Wprawdzie większość świetnych zbroje zabrali Moskale z Paszkiewiczem w r. 48 (a co pozostało, to hełmy, tarcze, kopje i rysztunki przywiezione z Wiednia. Lecz nie w tem urok starego Zamka. Jak zanikły geniusz feudalizmu, wznosi się ponad mieszczańską siedzibą Czechosłowaków, urągając postępowi i fałowaniu politycznym.

Dla miłośnika fauny zajmującym jest jednak zwiedzenie Muzeum zoologicznego o charakterze wybitnie regionalnym: stąd przegląd zwierzostanu doliny Orawy: orły, świstaki i sęp zabłąkany, dalej jelenie, dziki, wilki, niedźwiedzie wspaniale wypchane.

Pięknie przedstawia się dział ornitologiczny: gniazda zimorodków, wilgi, dudki, bociany, czaple, dzięcioły, sowy. Apartamenty ulegały różnym przemianom, trudno wyobrazić sobie dziś, jak wyglądały za czasów hr. Vurzo, jedynowładcy. Zachowały się kasetonowe plafony z XVI wieku. Meble datują z epoki Empire'u. Uderza oryginalnie zaznaczona data na oddzwiaach, rok 1483 (czwórka pisana, jak 1/2 ósemki). Niezliczoną ilością krętych korytarzy i schodków docieramy do baszty wiszącej nad przepaścią.

Rozległy widok na dolinę Orawy przykuwa oczy, a myśl ulatuje ku onym kasztelankom, które wychylone z framugi okien, z utęsknieniem oczekiwały powrotu z wypraw rycerskich małżonków i braci. Dziś błąka się po tych salach współczesna, krótko ostrzyżona turystka w wiatrówe. Czyby uznały ją za siostrę dostojne panie w robronach średniowiecza?

Poza Zamkiem miasteczko nie pięknego nie przedstawia. Nawet owoce przysiółkowo tanie w Czechosłowacji zawiodły, — poprzedniego dnia turyści wymiętli co do jednej pomarańczy i jabłka. Pozostało wino — coż, kiedy do Polski przewieźć go nie wolno.

Piło się więc na miejscu, za dziś i za jutro, za przyjaźń czechosłowacko-polską i na część wyjątkowo pięknej pogody.

Jednym słowem, wycieczka się udała.

Na marginesie wesołości moment poważny, — kapelan gimnazjalny, biorący udział w wycieczce zapowiedział wspólną Mszę św. w dzień powszedni o 8-ej. Wszyscy stawili się, jak jeden mąż, ku wielkiemu zbudowaniu miejscowego proboszcza i całego miasteczka. C. S.

400-lecie Linny

W bieżącym roku przypada 400-lecie założenia Limy, stolicy republiki peruwiańskiej. Założycielem tego miasta był słynny hiszpański podróżnik Franciszek Pizarro, który już w roku 1513 razem z Nunez de Balboa zjawił się po raz pierwszy na wybrzeżu peruwiańskim.

Obecnie Lima liczy około 300 tysięcy mieszkańców i jest miastem zupełnie nowożytnym, koncentrującym cały ruch handlowy na zachodnim wybrzeżu Ameryki południowej. Przyczynia się do tego w znacznym stopniu bliskość wielkiego portu handlowego Callao.

**Daj grosz
na L. O. P. P.**

Warszawski wielbiciel antyku

Szersze warstwy naszego społeczeństwa zdają sobie naogół sprawę z tego, że kultura europejska, a więc i polska, zawdzięcza kulturze klasycznej. Aby to rozumienie antyku, jako podłoża kultury współczesnej ugruntować w narodzie, tara się o to gorliwie spory zastęp propagatorów znajomości świata starożytnego.

W ich szeregu stoi oddawna **Stefan Cybulski**, działający stale w Warszawie od grudnia 1919 r., od powrotu do nieodległej Ojczyzny, jako jeden z najbardziej nieustraszonych krzewicieli umiłowania antyku.

Jest on kresowcem. Urodził się 20. czerwca 1858 na Podolu rosyjskim, z rodziny ziemiańskiej. Ukończywszy chlubnie gimnazjum w Niemirowie w r. 1879, okonał szczęśliwie opór ojca przeciwko zamiarowi jego poświęcenia się studiom klasycznym, do których zapalił się w ciągu nauki szkolnej. Uzyskał także od władz pozwolenie na odbycie studiów w Uniwersytecie Warszawskim, na Wydziale historyczno-filologicznym.

Ukończył je w r. 1883 ze stopniem **laureata** nauk historyczno-filologicznych. Wykształcenie swe uzupełnił podróżami i studiami zagranicą. Owocem tych podróży były prace o topografii Aten i Rzymu, nadto z dziedziny rzeźby numizmatyki starożytnej.

Bezpośrednio po ukończeniu studiów 1. sierpnia 1883 otrzymał posadę rządową nauczyciela języków klasycznych w V. gimnazjum w Warszawie (obecnie im. Król. Jadwigi). Dla ożywienia nauki posługiwał się od początku rysunkami i rycinami. To dało początek znanym poszczególnie. Tablicom starożytności, które wyszły z rysunków ucznia kl. VII. Gembarskiego, obecnie generała W. P., dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie. Już jako nauczyciel gimnazjum IV., Cybulski rozpoczął wydawnictwo tych tablic: *Tabulae quibus antiquitates Graecae et Romanae illustrantur*. Edidit Stephanus Cybulski. W ciągu trzech lat doprowadził do dwunastu tablic. Ukończenia cyklu i powtórzenia tablic poprzednio wydanych podjęła się firma w Lipsku K. F. Koehler. Do współpracy powołał Cybulski znakomite siły naukowe. Tablic jest XXIII; niektóre pojawiły się już w IV wydaniu. Do tablic dodał teksty objaśniające w językach: polskim, francuskim, niemieckim, rosyjskim i włoskim. Tablice zdobyły nagrody na wystawach światowych i zostały wprowadzone w szkołach w Europie i w Ameryce.

Narodowość polska i popularność, jaką zyskał Cybulski wśród uczniów, były powodem przeniesienia go w r. 1890 do Carskiego Sioła, a wnet potem do Petersburga, gdzie z równym zapałem i gorliwością rozwijał szeroką działalność jako nauczyciel, kochający przedmiot swój i młodzież. W sierpniu 1907 mianowano go dyrektorem gimnazjum męskiego przy kościele św. Katarzyny. Na tem stanowisku wytrwał do 15 sierpnia 1919 r.

Utrzymywał łączność ze szkolnictwem zagranicą, interesował się nowymi prądami, wnosząc sam do pracy szkolnej wiele idei nowych i żywych. Opracował ankietę z 22 pytań w sprawach szkolnych i zwrócił się z nią do wybitnych pedagogów wszystkich państw europejskich (od Szwecji do Turcji). Wyniki jej ogłosił w rosyjskim piśmie ministerjalnym (Petersburg 1906). Wrażeniami z podróży, hospitacji, zjazdów, dzielił się zawsze z szerszą publicznością, zamieszczając sprawozdania w pismach rosyjskich i polskich, wychodzących w Petersburgu. W r. 1907 założył pismo popularno-naukowe, dwutygodnik w jęz. rosyjskim, p. t.: *Hermes* i wraz z prof. Uniw. Petersburskiego, A. Maleynem redagował je aż do 15. sierpnia 1919, gdy musiał z dawnej stolicy Rosji ustąpić. Z tą chwilą pismo to przestało istnieć.

W swej podziwu godnej pracowitości, ułożył szereg podręczników i komentarzy do autorów starożytnych, aby ułatwić metodę i ułatwić pracę uczniom, a tem samem obudzić w nich większe zainteresowanie i zamiłowanie do języków antycznych.

Obok filologii klasycznej z zamiłowaniem poświęcał się muzyce. Szczególnie zajmował się muzyką i śpiewem kościelnym i z tej dziedziny ogłosił szereg artykułów w pismach rosyjskich i polskich, oraz oddzielnie drukowanych prac (wyszły drukiem w Płocku i Petersburgu).

Ponadto próbował sił na polu literackim już jako student Uniwersytetu Warszawskiego. Zamieścił wtedy kilka artykułów w „Echu” i „Gazecie Warszawskiej”. Potem pisywał też drobne utwory sceniczne, dążąc w nich do poprawy mowy polskiej na Kresach.

W grudniu 1919 powrócił do wolnej już Ojczyzny i oddał z niesłabnącą energią i zapałem pracę dla dobra szkoły, młodzieży ukochanej i nad rozszerzaniem i ugruntowaniem w społeczeństwie polskim znajomości kultury klasycznej. W styczniu 1920 r. objął stanowisko współpracownika Wydziału Programowego Min. W. R. i O. P. jako radca ministerjalny, a od r. 1924 minister. wizytator szkół średnich. Pod jego kierunkiem opracowano program nauczania języków klasycznych w gimnazjum klas. i humanistycznym. Wówczas opracował także wskazówki metodyczne do nauczania filologii klasycznej, wydane przez Ministerstwo W. R. i O. P. Dzięki jego staraniom powstało jedyne w Warszawie gimnazjum klasyczne im. T. Rejtana. W Wydziale Programowym tegoż Ministerstwa pracuje nadal, choć z dniem 1. stycznia 1927 przeszedł na emeryturę.

Od r. 1921 do 1923 prowadził lektorat języka greckiego na Uniwersytecie Warszawskim, a w r. 1922 objął zlecenie wykłady starożytności greckich i rzymskich,

a ponadto od r. 1927 prowadzi zleczone wykłady dydaktyki i metodyki filologii klasycznej w U. W. Od września 1930 r. pracuje znów na stanowisku dyrektora T. W. O. „Przyszłość”.

W szeregu artykułów i rozpraw, ogłaszanych w czasopismach fachowych, jak Przegląd Pedagogiczny, Humanistyczny, Kwartalnik Klasyczny, Miesięcznik katechetyczny i wychowawczy i i., rozwija i uzasadnia swoje plany i dążenia w dziedzinie nauczania łaciny w gimnazjum humanistycznym. Píše w dalszym ciągu artykuły o muzyce kościelnej (Kurier Warszawski, miesięcznik chorwacki Św. Ceci i ja) i wydaje osobne prace pt.: „Na bożeństwo żałobne” (Warszawa 1920), oraz „Poezja łacińska w pieśni” (Warszawa 1924). Nadto ułożył podręcznik do nauki języka łacińskiego (dwa opracowania, z r. 1922 i 1928). Wreszcie rozpoczął wydawnictwo tablic: „Bogowie i ludzie w sztuce greckiej i rzymskiej”, z tekstem objaśniającym w opracowaniu prof. dr. K. Michałowskiego. Dotąd ukazały się cztery zeszyty: I. Zeus - Jowisz; II. Hera - Juno; III. Athena - Minerva; IV. Apollon.

Osobna chlubna karta w działalności Cybulskiego, to praca nad podniesieniem poziomu znajomości kultury i piękna antycznego przez organizowanie wieczorów i przedstawień klasycznych. W ciągu swej półwiekowej przeszłości działalności w szkole wystawił kilka tragedii starożytnych w tem Sofoklesa: Antygonę i Króla Edypa w języku greckim, dalej Euripidesa: Ifigenię w Aulidzie, Feliokanki, oraz Arystofanesa Ptaki, nadto Kochanowskiego: Odprawę posłów greckich — wszystkie z ilustracją muzyczną. Urządził też wieczór poezji łacińskiej i francuskiej w pieśni, oraz koncert religijny. Brał też udział w II. zjeździe klasycznych filologów z krajów słowiańskich w Pradze 1931, gdzie miał referat z zakresu inscenizowania tragedii

starożytnych. Przy wielu obowiązkach starał się zawsze o wzbogacenie naszej literatury pedagogicznej.

Za tę gorliwą pracę około podniesienia znajomości kultury klasycznej, oraz poziomu kultury muzycznej w szkołach, otrzymał w kwietniu 1930 r., złoty krzyż zasługi. Nadto pozwolono mu na przyjęcie i noszenie Krzyża Kawalerskiego Pańskiego orderu św. Sylwestra.

Osobno omówić należy jego działalność w Polskim Towarzystwie Filologicznym. Wraz z prof. dr. Gustawem Przychockim przyczynił się do założenia Koła P. T. F. w Warszawie i był pierwszym jego prezesem. W pracach Twa, w zjazdach filologicznych bierze czynny udział jako jeden z najgorliwszych członków, mimo, że w bieżącym roku ukończy 77 lat nieustraszonego życia, wygłasza odczyty, dzieli się razem swem doświadczeniem z zebranymi, ogłasza artykuły w Kwartalniku Klasycznym, organie P. T. F. Za tę pełną zapału i energii, działalność na różnych polach spotyka go uznanie ze wszystkich stron. Polskie Towarzystwo Filologiczne uczciło go, mianując go na Walnem Zgromadzeniu we Lwowie w maju 1934 r., swym członkiem honorowym i poświęcając mu Kwartalnik Klasyczny 1934 zeszyt 4, ozdobiony jego podobizną i artykułem sekretarki Warszawskiego Koła PTF., p. dr. Lidji Winnickówny o jego działalności naukowej i wychowawczej, obfitej w plony bogate w ciągu pięćdziesięciu przeszło lat pracy pedagogicznej i prawie półwiekowej w dziedzinie nauki. W pracy tej wcale nie ustaje, mimo sędziwego wieku, zawsze pełen zapału, inicjatywy i energii, służy chętnie radą i wskazówkami młodym filologom. Nadaża za nowymi prądami i jest ich gorliwym propagatorem, bo czuje się zawsze młodym. A zapał ów i siły młodzieńcze zawdzięcza, jak sam powiada: „z jednej strony ciągłemu obcowaniu ze światem antycznym, światem piękną i prawdy, z drugiej strony obcowaniu z młodzieżą, której życie poświęcił”.

espe.

Pod znakiem aerodynamiki

Gorące tempo życia współczesnego wyciska coraz silniej swe piętno na naszych środkach komunikacyjnych, które przechodzą powolną, stopniową, ale nieustanną ewolucję.

Ogarnął nas istny szal szybkości, szal rekordów. Konstruujemy samochody, samoloty, marzą się loty stratosferyczne, podróże międzyplanetarne... Wszystkie te środki komunikacyjne są dostępne niewielkiej tylko stosunkowo ilości osób; „szary człowiek” podróżuje nadal koleją, będącą zawsze jeszcze najtańszym stosunkowo i najpopularniejszym środkiem lokomocji.

Ale i koleje przechodzą okres kryzysu. I one muszą iść z postępem czasu, modernizować się, o ile mają wyjść zwycięsko z walki konkurencyjnej z samochodami, autobusami, czy samolotami. Zagadnienie streszcza się w tem, by przy zwiększeniu szybkości zredukować możliwie koszty materiału pędowego i obsługi.

Cheć zwiększyć szybkość, trzeba starać się o zmniejszenie oporu powietrza, równoległego wzrastającego. Uzupełnia się tedy z maszyną wysokie kolumny, osłania się całą maszynę rodzajem jednolitego stalowego pancerza, pod którym ukryte są koła, rury, łuki, wszelkie sześci wystające. Maszyna taka, o profilu „aerodynamicznym” podobną się staje do jakiegoś olbrzymiego pocisku czy do „pancerki” o spadzistych linjach.

Maszyny tego typu kursują już na niektórych linjach kolejowych w Ameryce i w Anglii.

Nie na tem jednak koniec. W konstrukcji uwzględniać się musi nie sama tylko maszyna, lecz całość pociągu. Stwierdzoną bowiem jest rzeczą, że podczas biegu pociągu w przerwach między poszczególnymi wagonami wytwarzają się silne wiry powietrzne, co

powoduje silniejszy opór powietrza. Dlatego konstruktorzy amerykańscy przechodzą do typu całych pociągów „aerodynamicznych”, składających się z maszyny i kilku wagonów, tak ściśle ze sobą połączonych, że tworzą jedną całość. Pociąg taki wygląda jak jedna olbrzymia zamknięta rura stalowa, jak jakiś potworny pocisk, prujący powietrze.

Teoretycznie problem „aerodynamicznych pociągów” jest już właściwie rozwiązany. Ma on jednak swoje ciemne strony, występujące jaskrawiej w Europie niż w Ameryce północnej. Idzie tu przede wszystkim o zapewnienie podróżnym należytego bezpieczeństwa, na co w Ameryce nie zwraca się tyle uwagi co u nas.

Im większa szybkość pociągu, tem dłuższego czasu wymaga jego zahamowanie. Jak dziś rzeczy stoją, pociąg zahamować można na przestrzeni 600 do 700 metrów od semafora, — co przy znacznym zwiększeniu szybkości byłoby niemożliwym. Trzeba by zatem przebudować zupełnie cały istniejący system sygnałów, względnie zaopatrzyć pociągi w znacznie silniejsze hamulce, — co oczywiście pociągnęłoby za sobą ogromne koszty.

Trzeba by dalej na licznych linjach przebudować zupełnie tory kolejowe, wymienić częściowo szyny, złagodzić zbyt silne zakręty itp., co znów przedstawia duży wydatek.

Nie można też zapominać o trudnościach w należytej konserwacji podobnych pociągów „aerodynamicznych”, gdzie wszystkie części maszyny ukryte są pod grubą stalową maską. O ile więcej czasu straci mechanik przy tej robocie, która przecież musi być często i bardzo starannie wykonywana!

Z tych powodów nie można prze-

widywać, aby pociągi aerodynamiczne weszły w najbliższym czasie w powszechne użycie.

Natomiast przyjmuje się coraz bardziej nowy typ małych, szybkich pociągów, w guście słynnego „Flying Hamburger”. Pociąg ten składa się z dwóch wozów, ściśle ze sobą spojenych tak, że tworzą one jedną całość, o ile idzie o pokonanie oporu powietrza. Mierzy ogółem 42 metry i może pomieścić 102 podróżnych, — a rozwija szybkość 160 kilometrów na godzinę.

Podobne pociągi kursują też w Holandji, we Francji, we Włoszech, w Anglii. Amerykanie poszli dalej: kursują tam pociągi złożone z trzech wozów, ogólnej długości 70 metrów, a rozwijające szybkość 180 km./godz.

Wreszcie wspomnieć trzeba o wagonach motorowych typu „Micheline” (francuskie) i „Littorina” (włoskie), stanowiących dziś idealny niemal środek komunikacyjny, zwłaszcza na krótkich odcinkach. Motorówki takie, uzbrojone z całym komfortem, idą bardzo szybko, zatrzymując się tylko na węzłowych stacjach i umożliwiając mieszkańcom wielkich miast, krótkie i wygodne wycieczki do miejsc klimatycznych, kąpielowych itp.

Wszystko wskazuje na to, że przyszłość należy właśnie do tych „motorówek” czy „torped” kolejowych. Nie wymagają one dużej obsługi, odpada kłopot zestawiania całego garnituru pociągu, długiego manewrowania na stacjach, zmniejszają się wydatne koszty konserwacji. Nie wyrugują one naturalnie normalnych pociągów, kursujących na magistralach i linjach międzypaństwowych; — w komunikacji jednak podmiejskiej oddają ogromne usługi, konkurując skutecznie z najgroźniejszym wrogiem kolei: autobusem.

(Kr.)

Migrena, jej objawy i przyczyny

Choroba ta uchodzi poniekąd za typową kobietę. Faktycznie też z reguły kobiety zapadają na nią znacznie częściej od mężczyzn. Dlaczego, to wyjaśnimy poniżej.

Oczywiście nazwać ją można ogólnie „ból głowy”. Nazwa to jednak nieściśła; lepszym już określeniem jest naukowa nazwa lekarska: hemikrania. Charakteryzują bowiem migrenę silne bóle głowy, początkowo w okolicy czoła, skroni i oczodołu, a ogarniające stopniowo całą jedną połowę głowy.

Znacznie już rzadziej ból ten rozprzestrzenia się na całą głowę, dochodząc niekiedy aż do karku.

Jeszcze przykrejsze są dalsze objawy: nudności, zawroty głowy, zwiększona silnie pobudliwość skóry. Chory nie znosi światła, ani najłżejszego hałasu, co wywołuje prawdziwe paroksyzmy cierpienia. Ucieka do zaciemnionego pokoju, izolując się starannie od świata zewnętrznego. Tętno zwolnione, ciało pokrywa się zimnym potem.

Atak trwa kilka, czasem kilkanaście godzin. Chory zasypia, a nazajutrz budzi się nieco zmęczony, ale ma apetyt i czuje się dobrze.

Takie są typowe objawy migreny. Mogą one ulegać pewnym zmianom w tym czy w innym kierunku. Jeden chory nie może w czasie ataku nawet patrzeć na jedzenie, innemu jakiś lekki posiłek właśnie przynosi ulgę. Jeden zmuszony jest położyć się do łóżka, innemu wystarczy parę godzin absolutnej ciszy i spokoju.

Jest rzeczą ciekawą, że osoby, cierpiące na migrenę, przeżywają zazwyczaj jej atak na szereg godzin naprzód, po pewnych niezawodnych oznakach, jak uczucie zmęczenia, niezwykła pobudliwość i nerwowość, zaostrenie wzroku i słuchu.

Bezpośrednim czynnikiem wywołującym migrenę są zaburzenia w krążeniu krwi, w szczególności zaś skurcz naczyń tętniczych czaszki, zaopatrujących nerw trójdzielny. Skutkiem skurczu powstaje przejściowa anemja tego nerwu, wywołując opisane powyżej objawy. Znacznie rzadziej pod wpływem skurczu następuje, wręcz przeciwnie, rozszerzenie naczyń tętniczych, powodujące przejściową kongestję, co objawia się w silnym zaczerwienieniu twarzy. W tych ostatnich wypadkach przynoszą ulgę zimne okłady na głowę, podczas gdy normalnie stosuje się okłady ciepłe.

Jakie jednak jest właściwe źródło samej choroby? Otóż tutaj wchodzi w grę różne i różnorodne czynniki.

Są osoby, nie znoszące pokarmów białkowych. Spożycie któregoś z nich, na który, dany organizm jest specjalnie czuły, wywołuje nieunikniony atak migreny. Dlatego też w leczeniu tej choroby zalecaną bywa dieta jarzynowo-mleczna, z ograniczeniem do minimum spożywania białka.

W innych wypadkach źródłem choroby bywa nieprawidłowe funkcjonowanie wątroby lub woreczka żółciowego, co wymaga naturalnie specjalnej kuracji.

Najczęściej jednak, zwłaszcza u kobiet, migrena powstaje skutkiem zaburzeń w funkcjonowaniu gruczołów o wewnętrz-

niem wydzielaniu, a więc rozmaitych chorób kobiecych.

A wreszcie wchodzić mogą w grę również i czynniki zewnętrzne, jak nadmierne zimno lub gorąco, działające drażniaco na sam nerw trójdzielny. Znaną też jest rzeczą, że przemęczenie, silne wzruszenia psychiczne, nadużywanie tytoniu i alkoholu mogą u pewnych osobników działać drogą refleksu na nerw trójdzielny, powodując atak migreny.

Na jedną rzecz jeszcze zwrócić należy uwagę: ataki tej choroby występują zawsze u danej osoby w tej samej formie i w tych samych okolicznościach, co dowodzi, że stoją one w pewnej zależności i w pewnym związku z ogólną konstytucją całego organizmu.

Już z tego, co wyżej powiedziano wynika, że leczenie migreny musi być zupełnie indywidualne, poza takimi ogólnymi zabiegami, jak spokój, zaciemnienie, okłady na głowę.

Jakie medykamenty należy zastosować, o tem zadecyduje lekarz po dokładnym zbadaniu i ustaleniu właściwego źródła choroby. Trzeba bowiem pamiętać zawsze o tem, że migrena — poza rzadkimi wypadkami, o których powyżej wspomnieliśmy, — jest z reguły następstwem względnie objawem jakiejś innej choroby organicznej.

Ostatnimi czasy stosuje się również fizyko-terapię, jak naświetlanie nerwu trójdzielnego falami krótkimi, masaż lokalny i t. p. Ten system leczenia, wprowadzony stosunkowo niedawno, daje bardzo zachęcające wyniki.

(dr. L.)

Napoleon i jego towarzyszek na wyspie św. Heleny

Do niezliczonej ilości studjów historycznych o Napoleonie przybyło świeżo dzieło, którego autorem jest znany historyk francuski i najwybitniejszy fachowiec w tej dziedzinie, Oktaw Aubry.

Nie ograniczył się on do szperania po archiwach. Pragnąc w dziele swem „Sainte Hélène” zobrazować możliwie wiernie i dokładnie lata pobytu wielkiego korsykanina na tem odludziu, odbył podróż na wyspę św. Heleny, by tam na miejscu zebrać i uzupełnić potrzebne materiały.

Toteż wielkie jego, dwutomowe dzieło przynosi całą masę szczegółów nowych, dotąd nieznanych, a przedstawiających dla historyków ogromną wartość.

Znajdujemy w niem między innymi sylwetki kobiet, które towarzyszyły Napoleonowi na wygnanie, umilając mu ostatnie lata jego życia na dalekiej wyspie.

Było ich dwie zaledwie: hrabina Bertrand i hrabina de Montholon. Dwa różne, odrębne typy, zazdrosne, rywalizujące między sobą o łaski cesarza, może nawet nienawidzące się w głębi duszy...

Hrabina Bertrand, z domu Fanny Dillon, córka zgilotynowanego gene-

rała, była dawniej ulubienicą Józefiny. Ładna, postawna blondynka o ślicznych czarnych oczach... Marzyła o świetnym małżeństwie, o diukach, księciach krwi... Ostatecznie, na wyraźne życzenie Napoleona, poślubiła generała Bertranda, który wkrótce dał się jej zupełnie zawojować, ulegając potulnie wszystkim kaprysom swej zarozumiałej i niesłuchającej rozrzutnej małżonki.

Oboje towarzyszą Napoleonowi na wyspę św. Heleny, — hrabina co prawda, z ciężkim sercem. Nie uśmiecha się jej pobyt na tem odludziu. Zwłaszcza, że ma tam groźną rywalkę w osobie hr. de Montholon, której okazuje wyraźną pogardę.

Faktycznie też Albina de Montholon ma już za sobą burzliwą przeszłość. Jest kobietą w wieku lat około 35. Ma cerę nieco zniszczoną, ale ładne oczy i wspaniałe włosy. Zna wyśmienicie wszystkie arkany kokieteryj. Sprytna intrygantka, dążąca wytrwale do celu, nierażająca się żadnymi przeszkodami ani trudnościami, znosząca cierpliwie drobne afronty i upokorzenia.

Sekunduje jej dzielnie sam Montholon, były szambelan, skompromitowany zupełnie podczas pamiętnych „Stu dni”. Wie, że od Burbonów niczego już spodziewać się nie może. Nie ma nic do stracenia, więc trzyma się kur-

czowo Napoleona, jako ostatniej deski ratunku...

Obie rywalki patrzą na siebie wrogo. Wybuchają kłótnie, gorszące sceny. Wkrótce Bertrand przenosi się wraz z żoną i dziećmi z Longwood do odległego willi. Hrabina Montholon zostaje sama na placu. Rozwija cały kunszt zawodowej kokietki, by zdobyć serce Napoleona. „Robi wszystko możliwe”, notuje Gourgaud, „aby rozkochać w sobie cesarza, — słodkie oczy, sukienka wcięta w pasie, — robi się piękna, co jej wcale łatwo nie przychodzi”.

Zdaje się, że jednak to wszystko nie wywiera zbyt silnego wrażenia na cesarzu. Zwierza się swemu otoczeniu: „Nie myślcie, że ona mi się podoba. Przywykłem do towarzystwa kobiet zbyt ładnych i eleganckich, bym mógł nie zauważyć tych śmiesznych manier pani de Montholon. Ale tutaj człowiek nie ma wyboru. Zadowoliliby się nawet towarzystwem papugi, w braku czegoś więcej...”

Pani de Montholon jednak jest wytrwała. Dotrzymuje wiernie towarzystwa cesarzowi, stara się go rozerwać, pocieszyć, opowiada o możliwości powrotu do Europy, o stworzeniu wielkiego cesarstwa w Ameryce...

A kiedy w roku 1819 zmuszoną jest opuścić wyspę, Napoleon żegna ją z

P. OVIDIUS NASO

POTOP

Zamieszczamy poniżej wyjątek z przekładu jednego z najwybitniejszych utworów klasycznej literatury łacińskiej, „Przemiany” Publiusza Owidiusa Nasona (r. 43. przed nar. Chr. — 17. po nar. Chr.). — Red.

Jowisz rozsierdzony zbrodniami rodu ludzkiego, postanowił wygubić świat potopem.

Natychmiast Akwilona¹⁾ do Eola²⁾ groty Zamyka wraz z wiatrami tymi, których loty Spędzają rozwleczone chmury, pełne sloty, A wypuszcza Notusa³⁾. On wraz się porywa Na mokrych skrzydłach; srogą twarz mgła smolna skrywa,

Brodę woda przesysa, czoło mgła powleka, Rosa sączy się z włosów, z piór i łona ścieka. Gdy ścisnął rozpostarte szeroko obłoki, Powstał huk, zaczęły deszczu runęły potoki, A posłanka⁴⁾ (unony⁵⁾), w różnych barwach lśniła, Pije wodę i chmury zasila bez końca. Kładą się zboża; we łzach rolników nadzieje Leżą i praca roku całego marnieje. Niedosć sił nieba a'la Jowiszu — ale Także i mody brat⁶⁾ mu posłał w pomoc fale. Gdy na krótko wezwało wszystkie bogi rzeczne Zasyły się w pnie jego, rzecze im: Zbyteczne Działają długie zachęty! — zbierzcie siły swoje! Otóż się woda⁷⁾ trzeba, a'ny wasze zdroje, Niosły się w niewstrzymanym pędzie bez przeszkody. Rozkazał. Oparł się i każdy swej wody

Zródło otwarł — i już się rwie fala szalona... Sam zaś w ziemię trójzębem uderzył, a ona Zadrżała i wstrząśnieniem otworła wód drogi. Fale bez brzegów leją się przez pól rozłogi, Unosząc z sobą drzewa, zasiewy, domostwa, Bydło, ludzi, świątynie z posągami bóstwa; A jeśli, oparłszy się zniszczeniu, ocalał Dom jaki, wnet wał wyższy wierzchołek mu zalał. Niknie, w toni pograżon, szczyt każdej wieżycy: Między morzem a ziemią niema już różnicy.

Wszędzie ocean, który nawet brzegów nie ma... Ten na wzgórze... w łódź tamten siadł, wiosek się ima, Płynąc miejscem, gdzie orał niedawno zagony. Ów nad zbożem lub dachem chaty zatopionej Zegluguje... ten u szczytu wiązu rybę chwytą. W łące tkwi — jak wydarzy się — kotwica wbiła Lub trą się dna wygięte o winnicy łoża... Tam, gdzie niedawno trawę rwały zgrabne kozy, Teraz bezkształtne ciała foki rozkładają. Zdziwione przypatrują się Nerejdy⁸⁾ gajom, Domom, miastom pod wodą... Rój delfinów płąsa Wśród lasów... na konary wpada, pniami wstrząsa... Płyną wilki wśród owiec... i płowe lwy z falą, Z falą płyną tygrysy... i już nie ocala Siły piorunu dzika, ni chyżość goleni Nie zbawi unoszonych wraz z prądem jeleni. Długo ptak, gdzieby spocząć, wypatrywał ziemi. Aż wreszcie upadł w ton z skrzydłami znużonymi. Skryła wzniesienia morza bezkresna swoboda, Biła o gór wierzchołki nieznajoma woda; Fala pochłania tłumy, niewiele oszczędza — A i tych niszczy lądla brak i postu nędza. Gdy Jowisza ujrzał, że świat zalewisko kryje I że z tylu tysięcy tylko jeden⁹⁾ żyje

I że z tylu tysięcy tylko jedna¹⁰⁾ żyje, Akwilonem obłoki dżdżu pełne rozmiata: I zobaczył świat niebo, niebo postać świata. Ustał gniew morza. Pocisk o potrójnym zębie Odrzuciwszy, toń gładzi Neptun; ponad głębię Wznosi się modry Tryton⁶⁾: purpura prawdziwa Ze szkarłatnych ślimaków barki mu pokrywa. Jego to władca morza ku sobie przyzywa I brzmieniem dźwięcznej muszli każe stać orędzie, By wszystkie wody fale swe wstrzymały w pędzie. On bierze w rękę konchę wydłużoną, krętą, Coraz szerszymi kręgi w górę rozwiniętą, Która kiedy powietrze wciągnie wśród mórz toni, W krainach obu Febów⁷⁾ jej głos się rozdzwoni. I wtedy, gdy ust bożka, od brody wilgotnej Mokrych, dotknąwszy, na bieg zagrała powrotny, Usłyszały ją wszystkie mórz i ziemi wody A usłyszawszy, fal swych wstrzymały pochody. Opadają strumienie, widać szczyt za szczytem... Morze ma brzegi... pełnem toczą się korytem Rzeki... wznosi się ziemia, zwiększają pól smugi, Maleją wody... i po czasie dobie długiej Ukazują się drzew wierzchołki z gałęziami I liśćmi, które jeszcze osad młuł płami. Był znów świat — — — — —

Przełożył ARTUR CŹWIKOWSKI

1) Eol — król wiatrów; Akwilon — wiatr północny; Notus — wiatr południowy. 2) Iris — tęcza. 3) Bóg mórz, Neptun. 4) Nerejdy — boginki morskie. 5) Deukalion i Pyrrha, jedyni, którzy ocalili z potopu. 6) Tryton — bóg morski. 7) Na wschodzie i zachodzie.

szczerem żalem, obsypuje podarkami i pieniędzmi.

Odjeżdża z ukrywaniem zadowolenie: pogrzebiła zupełnie swą nienawistną rywalkę. Napoleon odsuwa się coraz bardziej od hr. Bertrand.

Poza temi dwiema Francuskami niewiele kobiet zetknęło się na wyspie z cesarzem. I były to znajomości krótkie, przelotne.

W miłej pamięci Napoleona została Marja Anna Robinson, córka zamężnego wieśniaka. Ujrzał ją po raz pierwszy u drzwi jej chaty, gdzie stała, trzymając duże naręcze kwiatów. Od tej chwili nieraz zachodził w te strony,

by zobaczyć tę swoją „nimfę“, jak ją nazywał. Było to proste, młode, naiwne dziewczę, o różowych policzkach i wielkich piwnych oczach. Marja Anna wyszła za mąż za kapitana Edwardsa. Uważała sobie za obowiązek przedstawić swego narzeczonego Napoleonowi.

Prawdziwym promykiem słonecznym była wreszcie młoda Betsy Belcombe. W domu jej rodziców mieszkał Napoleon przez jakiś czas, zanim przygotowano mu apartamenty w Longwood.

Tam zaprzyjaźnił się z małą Betsy. Był to rozkoszny ośmastoletni urwisz, prawdziwe „enfant terrible“. Traktuje cesarza jak starego wujaszka, wiesza

mu się u ramienia, zapytuje go tysiącem naiwnych i zuchwałych pytań, urządza mu rozmaite niewinne psikusy.

Napoleon jest nią zachwycony, pozwala jej na wszystko, czasem łagodnie wytarga za różowe uszko.

Więc kiedy przyszła chwila pożegnania, kiedy Betsy wraz z rodziną ma opuścić wyspę, Napoleon żegna ją czule, daje jej na pamiątkę kosmyk włosów, ociera jej łzy własną chusteczką...

Odjechała, — zgasł ostatni promyk słońca dla samotnego wygnańca i więźnia... (kr.)

— jak przypuszczam — faktowi, że z nasion tej rośliny sporządzają w Indiach różańce). W pierwszym wypadku umieszczali w korycie, z którego było jado, kulki cukru, zawierające arsenik. — W drugim ucierali nasiona na rodzaj pasty i w tej formie przykładali je bydlu na rany lub zadrażnienia; nasiona te można jeść po ugotowaniu, lecz w stanie surowym wym stanowią skuteczną truciznę. Jedynym środkiem zapobiegawczym było — rozcinanie skór wszystkich zdechłych zwierząt tak, by je uczynić bezużytecznymi dla garbarzy.

TLUCZONE SZKŁO I PROSZEK DJAMENTOWY

Jako trucizny drażniące często używano tłuczonego szkła. Jeszcze lepszą reputacją i jeszcze szerszą klientelą cieszył się proszek z djamentów. Muzułmanie z sfer wyższych w Indiach południowych uważali go za najmniej bolesną, a równocześnie najsukcesyjniejszą truciznę. W czasach niepewnych zachowywano sobie trochę proszku djamentowego na wypadek nadejścia czarnej godziny. Pułk. James Tod, z którym zaraz bliżej poznamy czytelników, opowiada, jak to pod koniec w. XVIII rządcą Adźmiru (Ajmere, w Radżputanie), obleżony przez awanturnika francuskiego nazwiskiem de Boigne, połknął djamentowy proszek, potem wydał polecenie: „Powiedziecie radzy, że tylko tak mogłem dać dowód swego posłuszeństwa i że tylko po moim trupie mógł wróg wejść do Adźmiru.“ Jeszcze z końcem ub. w. Mulhar Rao z Barody, chcąc otruć pułk. Phayre'a, użył proszku djamentowego, zmieszanego na wszelki wypadek z arsenikiem („Doppelt reisst nicht“).

ZATRUTE SZATY.

Pułk. James Tod, zasłużony zbieracz tradycji, legend i literatury, odnoszących się do radżputów, wśród których przebywał wiele lat jako rezydent w pierwszej połowie w. XIX. powiada m. in. kilka historii o księżkach, których zgładzono zapomocą zatrutych szat — podobnie jak Herkules miał zginać, gdy ciałem się w szatę, nasmarowaną cz. raczej przepojoną krwią Messusa. „Naturalnie — mówi Tod — musiało to nastąpić drogą absorpcji pory skóry; w gorącym klimacie, gdzie nosi się tylko cienką tunikę, przylegającą bezpośrednio do ciała, wiele złego mogło to wyrządzić, choć trudno pojąć, jak mogło spowodować śmierć.“

ODTRUTKI I ŚRODKI OCHRONNE

Ludzie różnią się od baranów naogół tem, że mniej chętnie dają się zarzynać czy mordować. Częste zamachy trucicielskie doprowadziły do używania wielu antydotów.

Fra Paolino da san Bartolomeo (recte Wessdin), karmelita austriacki, który w 2. połowie w. XVIII działał jako misjonarz w różnych częściach Indji i napisał też kilka ciekawych książek o tym kraju, sądził pewnego razu, że go otruto i zażył odtrutki „nadurskiej“, tak nazwanej od miasta Madury (na pld.).

Krajowcy, a także pierwsi osadnicy angielscy wierzyli, że naczynia, sporządzone z pewnych materiałów, chronią przed trucizną, i używali tylko takich naczyń. Taką właściwość przypisywano minerałowi nefrytowi czyli nerkowcowi, dalej rogowi nosorożca, uważanemu za identyczny z rogiem legendarnego jednorożca. „Rogi w Indiach — powiada wspomniany już Linschoten — bardzo się ceni i używa ich dla obrony przed wszelkim jadem, trucizną i wielu chorobami.“ Tę samą właściwość przypisywano dalej szkłu weneckiemu, a angielscy osadnicy w Indiach w w. XVII posługiwali się naczyniami ze specjalnego rodzaju porcelany, gdyż wierzyli, że naczynie takie pęknie, jeżeli znajdzie się w nim trucizna.

Wreszcie rośnie w Himalajach pewna roślina pasorzytnicza, wywołująca zgrubienie na klonie i dębie. Z takich zgrubień sporządza się czasem, które mają posiadać właściwość zdradzania obecności trucizny. Uczony podróżnik angielski Hooker, który podróżował po pld. wschodzie Indji w połowie w. XIX. chciał kupić takie curiosum i musiał zapłacić za jedną sztukę całą gwineę (złota moneta angielska wartości 21 szylingów).

Trucicielstwo w Indiach nie było niczem nadzwyczajnym jeszcze w pierwszych latach w. XX.

DR. E. ŚLUSZKIEWICZ.

Trucicielstwo i truciciele w Indiach

Nikogo zapewne nie zadziwi wiadomość, że Indie także znały zbrodnie i zbrodniarzy. I w Indiach zbrodnia — w tej czy innej formie, otwarcie występująca lub kryjąca się wstydliwie, nieraz odziana w zwodniczy płaszczk cnoty — kwitła zarówno w starożytności, jak w średniowieczu i w czasach nowszych.

Nie najrzadszą zbrodnią było trucicielstwo. I ono pochwalić się może starożytnością: genealogia jego, oparta na dokumentach, sięga najdawniejszej znanej nam epoki. wedyjskiej. Z braku miejsca ograniczymy się tu jednak do czasów nowszych.

WŁADCY W ROLI TRUCIELI

Resztki kurtuazji, ocalałe z pogromu wielkiej wojny, nakazują pierwsze miejsce i tu zarezerwować dla królów i książąt.

Potężny władca mahometański, Mahmud z Gazny (miasto na terenie dzisiejszego Afganistanu), rządzący w pierwszej połowie w. XI., pozbył się podobno całej bandy rabusiów w ten sposób, że zatrut ładunek jabłek, niesiony przez wielbłąda. Podanie indyjskie opowiada, że cesarz Akbar (1556—1605), pragnąc pozbyć się rządcy kraju Sind (płn. zachód), kazał sporządzić dwie pigułki zupełnie podobne, z których jedna miała zawierać truciznę; w czasie rozmowy z owym rządcą, bawiąc się pigułkami, pomieszał je nieopatrznie i poczęstował gościa niezatrutą, a sam połknął zatrutą i padł ofiarą tej pomyłki — mimo zażycia odtrutki. Inny władca, Majsuru, Tipu, który pod koniec w. XVIII stał się potęgą, groźną dla Anglików, otrut w więzieniu gen. Maitlanda.

Osobna wzmianka należy się księciu, który truł dzięki temu, że sam był przepojony trucizną. Oto Samuel Purchas, który wydał (w latach 1624—1626) w pięciu tomach opis podróży europejskich do Indji, opowiada, że władca Ahmedabadu, Mahmud Begada (druga połowa w. XV) żywił się trucizną; codzienne jego pożywienie stanowiły: żmija, bazyliśzek i... ropucha (powinszować!). Odoardo Barbosa zaś, kuzyn słynnego żeglarza Magellana, z którym razem odbył podróż naokoło świata, i autor dzieła „Wybrzeża Afryki wschodniej i Malabar“ (1515) zdradza i tajemnicę dziecinństwa owego Mahmuda: „Ojciec jego chciał, by wychowywano go od dziecinństwa i żywiono trucizną, ażeby nie można było go zgładzić trucizną; bo królowie tamtych okolic często wzajemnie się gładzili przy pomocy trucizny... dlatego też stał się tak zatruty, że, jeżeli mucha usiadła na jego ręce, puchła i bezwzględnie padała martwa. „Gorzej — jeżeli tylko musnął swym oddechem którą ze swych licznych żon, umierała natychmiast. Nawiasem mówiąc, właśnie mahometański obyczaj trzymania kobiet w specjalnych apartamentach, t. zw. *zenana* (nazwa perska, pochodząca od *zen*, „kobieta“), ułatwiał trucicielstwo, zwłaszcza, że obyczaj ten przyjął się na szeroka skalę i u Hindusów, przedewszystkiem w Bengalu i prowincji Mahratta.

„CZAMAROWIE“ I BANDY TRUCIELSKIE.

W początkach panowania angielskiego nad Indjami bardzo rozpowszechnione było trucie koni i bydła wzdłuż Gangesu. Z relacji por. Bacona i innych wynika, że miejsca postoju były terenem, gdzie grasowały ciemne indywidua, uprawiające nieczyny proceder trucia koni oficerskich. T. zw. *czamarowie* (z nowoind. *czamar* „skórnik“) czyli garbarze często truli bydło dla zdobycia skór, zabijając w ten sposób ubożnie. Gdy zaś wskutek mocno niedyskretnych a bolesnych operacji gen. Sleemana, pogromcy osławionych thagów, organizacja tych „dusicieli“ stała się mitem, na miejsce jej pojawiło się zaraz inne, równie miłe bractwo, trujące ludzi po drogach.

Były to małe, oddzielne bandy, nie posiadające na szczęście już doskonałej organizacji thagów. Od tych ostatnich różniły się też tem, że nie oszczędzali kobiet; głównymi ofiarami były przede wszystkim tancerki. Te dwie różnice, — niezależnie od sposobu wyprawiania luzi poza granice świata doczesnego — wystarczają, by truciciele uważać za coś innego od thagów. Byli bowiem tacy, którzy sądzili, że obie te pożyteczne instytucje niedobroczyne, (pożyteczne o tyle, że zwalczały skutecznie niebezpieczeństwa przeludnienia!) ściślej jakoś się z sobą łączyły. Wprawdzie i truciciele przed wyruszeniem na wyprawę składali ofiarę świętemu czy bóstwu, lecz taki obyczaj panował i u innego rodzaju band zbrojeckich, nie dowodzi więc niczego. Ciekawe też, że słownik thagów nie znał wyrażenia na oznaczenie trucizny.

Truciciele operowali zazwyczaj w przebraniach. Przebierali się czasem za wędrownych fakirów, czasem — dla ułatwienia sobie zadania — za kucharzy braminów (członkom kasty wyższej nie wolno przyjmować jada od członków kasty niższej; kasta bramińska jest najwyższą, od jej członków zatem wszyscy mogą przyjmować jedzenie); czasem udawali taki truciciel przewodnika pielgrzymów. Nieraz grał rolę pośrednika małżeńskiego, poszukującego panny na wydaniu, to znów dołączał się do trupy tancerki lub partii kupców z Kabulu, przybywającej z końmi turkiestańskimi na sprzedaż. Czasem też operował w towarzystwie rodziny, rzeczywistej lub specjalnie na pewien czas przybranej.

Głównym miejscem operacji tych trucicieli był seraj czyli gospoda. Truciciele ofiarował się podróżnym z dostarczaniem albo gotowaniem jada i przy takiej sposobności oczywiście zatruchiwał ryż czy placek, który podawał.

Sleeman sądził, że truciciele starali się zawsze pozabawić swe ofiary życia, natomiast pułk. Hervey przeczył temu, utrzymując, że w rzeczywistości chcieli tylko je oszołomić — tak, by móc bezpiecznie uciec po dokonaniu rabunku. Nie ulega jednak wątpliwości, że często przez pomyłkę zadawali zbyt dużą dawkę środka oszołamiającego i wtedy skutki były fatalne.

ŚRODKI TRUJĄCE

Gdy już ktoś zdecydował się na użycie trucizny, z otrzymaniem jej naogół nie wiele miał kłopotu. Posłuchajmy, co powiada lekarz angielski dr. Chevers w drugiej połowie ubiegłego wieku: „Obfitość różnorodnych śmiertelnie działających roślin, rosnących w gorącej, a wilgotnej atmosferze Bengalu, i nieograniczona swoboda, z jaką można prawie wszystkie rodzaje najgwałtowniejszych trucizn mineralnych i roślinnych nabyć w każdym bazarze indyjskim, nadto oswojenie się z działaniem narkotyków, wynikające z nałogu codziennego jedzenia opium i palenia konopi, dostatecznie tłumaczy trucia wśród narodu bojaźliwego, który zawsze woli posługiwać się zdradą niż przemocą przy popełnianiu zbrodni — chyba, że znajdzie się w stanie szalonego podniecenia. Zatem kilkadziesiąt lat temu w takim Bengalu miano kłopot z... wyborem trucizny!“

DATURA — SZALEJ

Truciciele jednak zazwyczaj posługiwali się dla swych celów szalajem (bielunem), wywołującym utratę czucia i szal (skąd nazwa polska tej rośliny „szalej“).

Wspomniany już Chevers sądził, że do powolnego trucia, praktykowanego podobno w wiekach średnich, żaden środek medyczny, znany dziś, nie nadawał się tak dobrze jak właśnie datura (zwana „stramonium“, z łac.). Według innego uczonego, Bartona, „jeśli zażyć datury na 24 godzin, usuwa wszelkie uczucie smutku, pobudza do wesołości i śmiechu“. Kto wie też, czy van Linschoten — który zostawił relacje o podróży po Indiach w latach 1583—1589 — nie miał na myśli datury, gdy pisał, że istnieje „pewna trucizna czy jad, który zabija osobę pijącą go, o tym czasie, czy o tej godzinie, o jakiej im (tj. trucicielom) się podoba; przyrządzając tę truciznę, robią ją taką, że będzie leżeć 6 lat w ciele człowieka i nie zabije go, a potem zabije go, nie chybając i o pół godziny“.

Inna rzecz, że takie działanie jakiejś trucizny można chyba włożyć między bajki (dla niegrzecznych dzieci, choć dzisiejsza pedagogika zabrania i tego). Podobny los czeka pewnie i opowieść Grosego, autora „Podróży do Indji Wschodnich“ (1772), o pewnym nasieniu, udającym się na brzegach Gangesu, że, jeżeli je połknąć, przylgnie ściśle do ścian żołądka, zacznie tam się rozwijać i wypuści rozgałęzienia tak, że zabije człowieka, a w mocy medycyny nie leży zniszczyć je lub przeszkodzić jego rozwojowi. Niektórzy sądzą, że i ten opis może się odnosić do datury.

ARSZENIK I MODLIGROSZEK

Wspomniani wyżej „czamarowie“ posługiwali się zazwyczaj albo arsenikiem, albo nasionami paciorkowca, zwanego inaczej modligroszkiem (abrus precatorius; nazwa polska „modligroszek“ jest tłumaczeniem niemieckiej „Paternosterbe“, zawdzięczającej swe pochodzenie

Dwa stosy w Dubnie

Ożywiony ruch panował w dniu 5 marca 1716 r., przed budynkiem sądu miejskiego w Dubnie, na Wołyniu. Mieszkańcy niemal całego miasteczka ściągali na rynek, zwiabiwi wieścią, że sąd miejski sędzić będzie w onym dniu sprawę przejścia na judaizm dwu kobiet: Maryny Dawidowej Syrowajcowej, Rosjanki z Witebska, oraz Maryny, córki Wojciecha, mieszczanina z Mielca, Polki. Już niebawem i sąd miejski zjawił się w komplecie: przybyli wszyscy trzej burmistrzowie, Paweł Kiryaneńko, Jan Kapusteńko i Paweł Jarmołowicz, — dalej landwójt Jan Hołowczycki, oraz przysięgli Mikołaj Wadowicki. Cepaki miejskie przyprowadzili już z więzienia na zamek obie podsądne Maryny, Syrowajcową i Wojciechównę. Jak stare akta „maideburji dubieńskiej“ gloszą, obie sprawy „agitowały się między instygatorem sądowym z jednej a niezbożnymi odszczepieńcami wiary chrześcijańskiej z drugiej strony“.

Najpierw sądzoną była sprawa Maryny Dawidowiczowej Syrowajcowej.

CÓRKA POPA PRZESZŁA NA JUDAIZM

Maryna Syrowajcowa złożyła przed sądem następujące zeznanie:

— „Zem ja jest z miasta Witebska, córka jednego popa witebskiego, Ochrym, a gdy mój ojciec umarł, matka wydała mnie za mąż za chrześcijanina Dawida Syrowajca, z którym żyła dziesięć lat, a gdy mąż mój umarł, umyśliłam, opuściwszy wiarę chrześcijańską a żydowską przyjąć wiarę!“

— Sąd pyta:

— „Kto cię na to namówił?“

— „Nikt! ja sama od ojca mego popa, słyszałam, że ta wiara lepsza jest niż chrześcijańska, a tak ja to wzięwszy w umysł, zostałam teraz w żydowskiej wierze, już temu około pół roku jakby od kuczek żydowskich“.

I zeznawała dalej, że swoim koniem wyjechała z Witebska i jadąc od miasteczka do miasteczka, przyjmowaną była gościnnie przez żydów miejscowych, którzy dostarczali jej podwód, aż wreszcie po przebyciu wielu mil, dotarła do Dubna, gdzie została nazajutrz aresztowana i do więzienia wtrąconą.

— Sąd pytał dalej:

— „Jeżeli możesz nawrócić się na wiarę świętą i chcesz być chrześcijanką znowu?“

— „Nie chcę — odpowiedziała — i gotowam ginąć w tej żydowskiej wierze!“... Co kilkakrotnie potwierdziła „przy cielesnej konfessacie“.

ŚLUB MARYNY Z MIELCA Z FROIMEM JAKUBOWICZEM

A potem sąd, odkładając wyrok w sprawie Syrowajcowej na później, rozpatrywał drugą sprawę, w której stanęła przed nim Maryna Wojciechówna z Mielca.

Przywiózł ją do Dubna Leib Mewszowicz i zaznajomił z Froimem Jakubowiczem, który oświadczył gotowość poślubienia Maryny. Zatawiono bardzo szybko formalności, Jankiel Józefowicz, który „chory będąc“ wypełnił papiery, gospodarz szpitalny, Leib Abrahamowicz był świadkiem a Jankiel Boruchowicz udzielił w kahalie ślubu Leibowi i Marynie. W tej chwili wkroczył do kahału przysięgli z cepakami i aresztował Marynę i pięciu żydów, których pomieszczono w więzieniu zamkowym.

W czasie rozprawy sądowej, Maryna Wojciechówna pytana, skąd pochodzi, zeznała:

— „Jam jest rodem z miasta Mielca, tam służyłam u pewnego żyda lat trzy, a potem mnie do Leżajska namówiono do żydów i tam zostałam żydówką z namowy żyda Pasternaka i innych żydów i żydówek“.

A po „cielesnej konfessacie“ mówiła:

— „Że ja teraz brzydzę się tą wiarą żydowską, bom jak wierzyłam w Chrystusa, tedy i teraz dla niego gotowam cierpieć i umierać!“

Poddano następnie przesłuchaniu pięciu żydów, którzy przed i po „cielesnej konfessacie“ zgodnie mówili, iż „nie wiedzieli, aby ta dziewczka była chrześcijanką“.

WYROK

Sąd wysłuchawszy inkwizycji a „uważając taki eksces popełniony, rzadko albo nigdy niesłychany, haniebny i szkodliwy“ przechyla się do artykułu „Speculum Saxonicum“, iż każdy odszczepieniec ogniem ma być karany, wydaje następujący „dekret“:

„...aby Maryna Dawidowa była żywą na stosie drzew paloną“...

...dziewka Maryna Wojciechówna, która, lubo znowu do wiary chrześcijańskiej nawraca się, żałując za swój haniebny uczynek i znowu chce być chrześcijanką,

jednak podług prawa pospolitego, ma być gardłem karana, to jest, aby pod miecz głowę oddawszy, ciało ma być spalone na stosie drzew jako wiarołomcy i odszczepieńca“.

...tych zaś żydów pięciu, lubo Wojciechowska zeznawała, że musieli wszyscy żydzi wiedzieć o mnie, że chrześcijanką była, ale kiedy tylko sama powiada, a innych dokumentów, ani dowodów sąd na to nie ma, przeto owych pięciu żydów sąd uwalnia od stracenia gardła, a natomiast skazuje czterech z nich „aby byli smagani u pręgi po plag 100, poza tą karą Leiba Mewszowina wygania z miasta a Janka Józefowicza uwalnia“.

SKAZANIE KAHALU.

„A że ten ekces stanął w Dubnie, między kahałami dubieńskimi, a kahał był w tem ospały i trzymali u siebie przez tydzień tych odszczepieńców i wesele owym pozwolili czynić“, tedy nakazuje sąd kahałowi, aby złożył odpowiednią

„Ludzie pióra“ i „ludzie radja“

Czy pisarze, poeci, artyści powinni sami stawać przed mikrofonem, by zaznajamiać rzesze radiosłuchaczy ze swoją twórczością, czy też robić to za nich winien ktoś inny? Różne są o tem zdania. Naogół przeważa pogląd, że literaci, mając dotychczas mało kontaktu z radjem, przeważnie nie umieją mówić do mikrofonu, że lepiej jest, jeżeli poetę w wygłoszeniu jego wierszy zastąpi zawodowy recytator, a o głośnej jakiejś powieści opowie słuchaczom nie jej twórca, lecz fachowy prelegent.

Tak też ułożyły się stosunki w radiofonii wszystkich prawie krajów. Twórcy rzadko dochodzą do głosu przed mikrofonem, zastępując ich tu zawodowcy, pośrednicząc niejako między nimi, a słuchaczami. Z punktu widzenia technicznego jest w tem — być może — wiele racji. Stały prelegent radja ma miły dla ucha głos, świetnie umie nim operować, żadne jego słowo nie jest stracone dla słuchacza. A pisarz? Pisarz umie pisać. Z mówieniem gorsza sprawa. Gdy stanie przed mikrofonem, zazwyczaj miewa tremę, czasem połyka spółgłoski, niewyraźnie wymawia końcówki, a w rezultacie

z głośników płynie głos monotony, głos człowieka, odczytującego przygotowany w domu skrypt. A jeżeli jeszcze audytorium posłyszyszy sakramentalne słowa: „w szczupłych ramach 15 minut, trudno mi się wypowiedzieć“, efekt prelekcji będzie nabyiony.

A zatem odsunąć literatów i artystów od mikrofonu, względnie pogodzić się z istniejącym dziś wszędzie prawie stanem rzeczy, w którym oni sami nie bardzo kwapią się do tych występów?

Sprawą tą zajęło się ostatnio radio niemieckie i doszło do wniosku, że o ile audycje radiowe mają być odzwierciedleniem życia, nie może w nich braknąć głosów ludzi, którzy tworzą sztukę, o tem zaś, jak tworzą, nie powinien nam opowiadać ktoś trzeci, lecz sami twórcy. Wadliwości dykcji i inne ujemne strony tego rodzaju audycji dadzą się łatwo usunąć ćwiczeniem i wprawą.

Niemieckie radio rozpoczęło zatem akcję pozyskiwania dla mikrofonu „ludzi istotnie powołanych spośród wielkiej armii artystów“, lecz wyniki tej akcji, o ile chodzi o literatów, okazały się narazie bardzo skromne. Oto w przeciągu kwartału pozyskano dla radja 401 aktorów,

116 śpiewaków, 441 muzyków i solistów, 95 reżyserów, lecz tylko 56 autorów.

Czy niechęć ludzi pióra do zabierania głosu w radio jest uzasadniona? Jedno z czasopism niemieckich, „Der Deutsche Rundfunk“, apeluje do pisarzy, by wyzbyli się tej niechęci:

Czyż trudniej jest przed mikrofonem mówić, niż grać lub śpiewać?... Mówi się, że niewielu jest pisarzy, którzy sami mogliby recytować swe utwory, względnie opowiedzieć coś słuchaczom. To nieprawda: bo jeśli znajdą się oni w swoim gronie, robią to pewnością bardzo dobrze. Nie trzeba im tylko wmawiać, lub nawet żądać od nich, by mówili przed mikrofonem do sześciu mil. ludzi. Po pierwsze — to pomyłka, bo prelegent radiowy mówi zawsze do jednego człowieka, względnie do kilku ludzi, którzy skupiają się przy głośniku, a po drugie: prelegent powinien mówić właśnie do tych słuchaczy, którym, jak sądzi, może coś dać ze siebie. Jednakże cały ogół powinien oczywiście mieć prawo przysłuchiwać się jego słowom.

Sztuka opowiadania przed mikrofonem jest rzeczą trudną. Od człowieka, który bardzo nawet dobrze umie opowiadać, nie można żądać, by zaimprovizował jakąś pogadankę w oznaczonej chwili. Konieczne jest pewne przygotowanie. Jeżeli jednak prelegent pogadankę tę w całości przygotowuje sobie przy biurku i w tej formie ją wygłosi, będzie to list, szkic, referat, lecz nigdy — opowiadanie. By pogadanka była żywa, naturalna, przygotowanie ograniczyć się winno do zaznaczania w skrypcie tylko najważniejszych punktów, niejako dyspozycji, a ramy te wypełnić należy aż przed mikrofonem.

Spółeczeństwo chce wiedzieć, kim są jego poeci i myśliciele i co mu mają do powiedzenia — oświadcza organ niemieckiej radiofonii, wypowiadając się zdecydowanie za jak najczęstszym występowaniem literatów przed mikrofonem.

Radio niemieckie stara się pozatem dawać pisarzom inne pola do rozwinęcia działalności. Kierownik działu słuchawisk, O. Jahn zwrócił się do świata literackiego z prośbą o jak najżywszą współpracę w dziale teatru wyobraźni. — Chodzi tu tylko — oświadczył — o zaznajomienie się z właściwościami i możliwościami mikrofonu. Nie uważam, aby to była jakaś szczególna tajemnica. W ramach radja może się doskonale wypowiedzieć bardzo wielu poetów i dramaturgów, znajdując w słuchawisku nową formę artystyczną o pierwszorzędnym znaczeniu.

Jakie echo wzbudzą te apele? Poczekajmy kilka miesięcy na nową statystykę niemieckiego radja, a dowiemy się, ilu „ludzi pióra“ stało się „ludźmi radja“.



Orka

Muzeum rosyjskiej sztuki religijnej

Stynne muzeum Watykańskie powiększyło się obecnie o cenny zbiór obrazów i rysunków, ilustrujących ortodoksyjną sztukę kościelną i architektoniczną w Rosji.

Zbiór ten jest dziełem znanego malarza rosyjskiego, Braitowskiego, który był przed rewolucją profesorem Wyższej Szkoły budowniczej w Moskwie i Akademii Sztuk pięknych w Petersburgu.

Braitowskij, po wyjeździe ze Sowie- tów, opierając się na własnych obserwacjach i szkicach, oraz na materiale czę- ściowo dostarczonemu mu przez osoby po- stronne, częściowo zaś zebrany z rozmaitych publikacji, fotografii i dokumen- tów, — odtworzył w ciągu pięciu lat wy- tężonej pracy wszystkie ciekawsze i cen- niejsze dzieła sztuki kościelnej, jakie za

rządów bolszewickich uległy zniszczeniu. Kolekcja jego obrazów w ilości 140 sztuk obejmuje wierne reprodukcje sta- rych mozaik, fresków, ikon oraz kościo- łów i cerkwi i przedstawia ogromną war- tość dla historyka rosyjskiej sztuki ko- ścielnej.

Toteż Ojciec Św., oceniając należycie znaczenie tego zbioru, wyznaczył na po- mieszczenie tegoż pięć sal w Muzeum Watykańskim. Uroczystego otwarcia te- go nowego muzeum dokonał dnia 14 lu- tego br. kardynał Pacelli.

Dodać trzeba, że obrazy i rysunki Braitowskiego, poza swą wielką warto- ścią dokumentarną, posiadają wysokie walory artystyczne. Braitowskij nie usta- je w pracy, zamierzając zbiór swój jesz- cze wydatnie rozszerzyć i uzupełnić.